

Wspomnienia Mieczysława Karbowskiego¹

- W dniu 25 sierpnia 1939 r. zostałem zmobilizowany do armii polskiej z przydziałem na Półwysep Hel. Stamtąd w dniu 2 października 1939 r. wraz z całą załogą Helu dostałem się do niewoli niemieckiej.
- Po popadnięciu w niewolę przez okres około 14 dni przebywałem w przejściowym obozie dla jeńców wojennych w Chojnicach, gdzie zatrudniono nas przy wykopkach ziemniaków. Potem przewieziono nas do obozu jenieckiego w Stargardzie pod Szczecinem, a stamtąd po kilku dniach do obozu jenieckiego w Woldenbergu, noszącego nazwę Stalag II-C. Mieszkaliśmy tam w namiotach mieszczących do 200 ludzi każdy i zatrudnieni byliśmy przy budowie baraków murowanych, które stawiane były na terenie opasanym drutami kolczastymi wraz z namiotami przez nas zajętymi. W styczniu 1940 r. przeniesiono nas do baraków murowanych. To były najstraszniejsze chwile. Wieczne pragnienie nie tylko jedzenia, ale i ciepła. W marcu 1940 r. zaczęto wysyłać nas grupowo do pracy. Mnie i kilku innych wysłano do wsi Thänsdorf (obecnie Strzelczyn^a w powiecie Gryfino), gdzie pracowałem na majątku ziemskim, którego właścicielem był Franz Welk. Wszyscy jeńcy polscy znajdujący się na pracach w tej wsi podlegali pod jedno Arbeitskomando Stalagu II-C.

W czerwcu 1940 r. zjechali do wsi oficerowie niemieccy i podali nam do wiadomości, że zwalnają nas jako jeńców wojennych i robią nas wolnymi robotnikami cywilnymi, przy czym każdy może pracować w swoim zawodzie. To wszystko odbyło się w takiej atmosferze, że żaden z nas nie miał prawa mieć swego zdania. Wraz z tymi oficerami przybyli również przedstawiciele Arbeitsamtu, którzy od razu wzięli nas pod swoją „opiekę”. Tak to zostałem wraz z innymi polskimi żołnierzami „wolnym” robotnikiem z prawem pracowania w swoim zawodzie.

- Po tej maskaradzie wolności tego samego dnia otrzymałem przydział do sąsiedniej wsi Jädersdorf (obecnie Grzybno^b w pow. Gryfino) jako landarbeiter do gospodarstwa o pow. 45 ha, którego właścicielem był Franz Redlin.
 - Wysokości płacy miesięcznej za pracę nie pamiętam już. Wydaje mi się, że było 17 marek. Nie wiem, czy były z tego jakieś potrącenia. Po prostu nie powiedziano nam tego.
 - Dodatkowych dochodów związanych z pracą nie było. Na gospodarstwie rolnym nie było takich możliwości.
 - Wyżywienie było możliwe, lecz według ścisłego przydziału bez względu na to, czy się czułem najedzony czy też nie. Odzież mogliśmy kupić tylko roboczą. Tak samo było z obuwiami. Na zakup tych rzeczy otrzymywaliśmy specjalne kleiderkarty. Nie pamiętam jednak, co jaki czas wolno było takie ubranie czy buty kupować. Musieliśmy za to płacić własnymi pieniędzmi.
 - Warunki mieszkaniowe i sanitarne wiele miały do życzenia. Mieszkałem wraz z innym Polakiem w stajni, w komórce pod schodami prowadzącymi na strych. Komórka była tak mała, że łóżka stały piętrowo, gdyż obok siebie nie pomieściłyby się. Panował w niej wieczny zapach końskiego obornika. W takich warunkach zakradły się do bielizny wszy, które trudno było wytepić.

Otrzymałem potem trochę bielizny z domu i do prania też wysyłałem do domu. W ten sposób pozbyłem się natrętnego robactwa.

- Opieka lekarska była, lecz miałem trudności korzystania z niej. Pamiętam, że chorowałem na malarię. Miałem wysoką temperaturę. Leżałem w tej komórce jak pies, a mój bauer lekarza wezwać nie chciał. Dopiero za przyczyną mojego współtowarzysza niedoli, Polaka razem ze mną pracującego, odwiedziła mnie wieczorem jedna rodzina robotników niemieckich i przy jej pomocy doszedłem jakoś do zdrowia. Te odwiedziny odbywały się w tajemnicy przed innymi Niemcami.
- Z urlopu żadnego nie korzystałem. Nie puszczano Polaków na urlopy, bo nie chcieli z nich wracać.
- Ja miałem szczególnie trudne warunki, bo ten bauer był ślepym wielbicielem Hitlera. We wsi swej pełnił urząd Bauerführera. Czuli do niego niechęć również robotnicy niemieccy, a nawet niektórzy bauerzy.
- Nam, Polakom, wolno było poruszać się tylko po swojej wsi. Odwiedzanie wsi sąsiednich było zabronione. Wolno to było czynić tylko za specjalną przepustką. Inna rzecz, że myśmy potrafili tego dokonywać i bez przepustek.
- Polakom nie wolno było zawierać związków małżeńskich. Jedyne sposoby powrotu do domu dla dziewczyny polskiej, to zajście w ciążę. Takiej dziewczynie to bauer nawet dopomógł w możliwości powrotu do domu. Czynił to nie z sympatii, ale dlatego, że nie mógłby już mieć z niej wołu roboczego. Były więc wypadki, że niektóre dziewczęta taką drogę powrotu wybierały. Były również wypadki, że niektóre dziewczęta pozbywały się swego owocu [dziecka]. I w tym wypadku władze niemieckie szły na rękę, mianowicie zabierały te dzieci do państwowych domów wychowawczych. Takiego dziecka matka już nigdy więcej nie zobaczyła. Te wypadki były raczej rzadkie, gdyż Polacy zbyt takie dziewczęta potem napiętnowali. Trzeba wiedzieć, że w owych czasach patriotyzm był u Polaków bardzo wysoki.
- W roku 1942 jesienią część robotników swych bauerzy byli zobowiązani oddać fabrykom. Ponieważ należałem do tych bardziej hardych, więc mój bauer mnie wyznaczył do wysyłki, a tego drugiego Polaka, bardziej posłusznego, pozostawił u siebie. Przetransportowano nas wszystkich do Arbeitsamtu w Gryfinie, a stamtąd do Arbeitsamtu w Szczecinie. Tam przybyli również przedstawiciele różnych firm i fabryk niemieckich. Było to przy ul. Piastów, gdzie obecnie mieści się Politechnika* (dawniej Barnimstr.). Było nas tam bardzo dużo, sami Polacy. Ci z firm i fabryk przechadzali się po korytarzach i dokonywali wyboru „materiału roboczego”. Podśledziłem, gdy jeden do drugiego mówił, że potrzebuje kilku ludzi, ale z inteligentnymi głębami. Wybór padł na mnie i innych czterech Polaków. Kazał nam iść za sobą. Idziemy więc i nie wiemy dokąd oraz jaki los nas czeka. Zaprowadził nas nad Odrę do zakładu o nazwie Marine-Waffen und Ausrüstungsbetrieb. Tam stworzono z nas kolumnę roboczą transportowo-towarową. Przydzielono nas do Abteilungu [oddziału] Torpedokommando. [...] Poza Polakami pracowało nas tam sporo jeńców radzieckich oraz francuskich. Był tam dział napraw broni okrętowej, dział naprawy wyrzutni torpedowych, montowanie pomp okrętowych oraz magazyny z materiałem potrzebnym dla tych warsztatów z różnymi drobnymi przyrządami dla okrętów, jak busole, lornety, manometry

itd. Nas zatrudniono w magazynach warsztatowych przy przetransportowywaniu z warsztatu na nabrzeże wyrzutni torpedowych, pomp okrętowych, do przewożenia co cenniejszych części do magazynów prowizorycznych poza Szczecin, jak do Gryfina, do Gartz itd. Te wywózki spowodowane były nalotami lotniczymi na Szczecin. Rosjanie zatrudnieni byli wyłącznie w halach naprawy broni okrętowej i wyrzutni torpedowych. Kierownictwo spoczywało tam w rękach oficerów marynarki wojennej, których było kilkunastu. Poza tym pracowali tam sami cywile. Wiosną roku 1944 zakłady te wizytował admirał Dönitz, którego miałem możność z ukrycia widzieć. Głównym komendantem tych zakładów był Schramm – typowo niemiecki słuźbista, którego baliśmy się. Przed nim był inny, ale niezbyt długo. Był to byczy chłop. Nie wiem, jak do tego doszło, ale nawiązaliśmy z nim handel. Myśmy mu dostarczali tytoń, a on nam karty żywnościowe przeznaczone dla Niemców. Tytoń naturalnie kradliśmy z ich własnych magazynów. [...] Drugim psem na nas był komendant straży zakładowej. Nienawidził Polaków. Rozkoszował się tym, gdy robił nam rewizję osobista przy wychodzeniu z pracy. Jednego razu to wpadlibyśmy sromotnie, bo przenosiliśmy skradzione z magazynu mydło. Jednak był zbyt głupi aby nas przyłapać. Jego stosunek do nas nie podobał się nawet urzędnikom niemieckim tam pracującym. Za to z samymi strażnikami żyliśmy w dobrej komitywie. Okazja do zapoznania się z nimi była, bo oni całymi dniami patrolowali teren zakładu i często z nami rozmawiali i palili z nami papierosy. Byli to przeważnie inwalidzi wojenni wycofani ze służby liniowej i dlatego stać ich już było na trzeźwe patrzyenie na całą sytuację.

- Teraz cofnę się do pierwszych dni przybycia do Szczecina, aby trochę opisać przebieg życia poza swym zakładem pracy. Po przybyciu z Arbeitsamtu do Torpedokommando i przedstawieniu nas jednemu z oficerów, ten sam urzędnik zaprowadził nas do lagru na zamieszkanie. Stamtąd jednak następnego dnia Lagerführer przegnał nas, gdyż okazało się, że to był lager dla Volksdeutschwów. Nie pomogła interwencja Torpedokommando. Lagerführer postawił na swoim. Muszę tu zaznaczyć, że stosunek kierownictwa Torpedokommando do nas, Polaków, nie był nienawistny. Traktowano nas tam jak ludzi – mimo, że zachowywali w stosunku do nas obowiązujące ograniczenia.

Przeniesiono nas na Frauendorf do lagru dla Polaków z literą „P”. Była to jakaś dawna duża restauracja z salą widowiskową. Warunki były okropne. Łóżka 3-pietrowe. Byli tam sami Polacy. Lagerführer pies na Polaków. Bił nas przy pierwszej lepszej okazji. Szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska. Nasza piątka jednak nie była tam długo. Zupełnie załamani na duchu i zrezygnowani z życia postanowiliśmy iść do samego szefa Torpedokommando z prośbą, żeby nas przerzucił do innego lagru. Był to chłop wyrozumiały i załatwił nam [przeniesienie]. Przeniesiono nas do Vulkanlager przy Schmiedestr.** Był to jeden z większych lagrów. Zamieszkiwały w nim różne narodowości: Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Francuzi, Włosi, Czesi, Holendrzy, radzieccy jeńcy wojenni. Każda narodowość korzystała tam ściśle z praw jej przyznanych. To była prawdziwie precyzyjna niemiecka maszyna administracyjna. Odmienne karty żywnościowe, odmienne porcje i gatunki żywnościowe. Polacy i Rosjanie mieli tylko koninę. Lagerführer był niezłym człowiekiem. Utrzymywał rygor

icie niemiecki, ale osobistych wyskoków nie robił. Do Polaków to nawet czuł utajoną słabość. Uważał ich za obrotnych ludzi, a to mu się podobało. [...]. Po pracy wolno nam było chodzić po mieście za uprzednim zgłoszeniem tego w biurze lagrowym. Zabronione było nam korzystanie z jakichkolwiek rozrywek kulturalnych przysługujących Niemcom. Zabronione było wchodzenie do restauracji. Do kościoła wolno było chodzić w godzinach specjalnie wyznaczonych. Zabronione było nam korzystanie z jakichkolwiek środków lokomocji. Na jazdę tramwajem otrzymywali [zgode] tylko ci, którzy mieli daleko do pracy i tylko ściśle wyznaczonymi liniami tramwajowymi. [...]

- [...] Było jeszcze kilka innych znanych mi lagrów, lecz ich nazw nie pamiętam. Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci Merkurlager. Słynął on z tego, że odbywały się tam koncerty muzyczne zorganizowane przez Polaków. Wolno było na nie uczęszczać wszystkim Polakom. Koncerty te cieszyły się ogromnym powodzeniem. To była prawdziwa podpora duchowa dla nas. Zespół muzyczny składał się z zawodowych muzyków, z których niektórzy grali dawniej w zespole statku „Batory”. Każdorazowo na takich koncertach byli przedstawiciele Gestapo, a przy tym korzystały również rodziny gestapowców. Należałem do stałych słuchaczy tych koncertów. Grano tam między innymi polonezy, arie z opery „Halka”, z opery „Straszny Dwór” itd. Część tego zespołu wystąpiła również jednego razu na chórze w kościele na nabożeństwie odprawianym dla Polaków. Było to drugie święto Bożego narodzenia. To było przeżycie, którego nigdy nie zapomnę. Przy akompaniamencie organów zagrano „Bóg się rodzi, moc truchlej”. Śpiewać po polsku nie było wolno, ale tony tej muzyki były tak wymowne, że zbyteczne były słowa. Co czułem w owej chwili, trudno mi niestety, słowami wyrazić. Zaciśnięte zęby, a w oczach łzy – to było wszystko. [...]
- W czasie swej pracy spotkałem się z narodowościami przede wszystkim tymi, które mieszkały w moim lagrze. W nocnym nalocie 30 sierpnia 1944 r. lager ten całkowicie został zmieciony z powierzchni ziemi. Była to straszna masakra. Zostało tam spalonych żywcem ok. 40 Francuzów, którzy schronili się na terenie tego lagru. Spalił się również jeden Polak z naszej piątki z Torpedokommando. Ja byłem poparzony od ognia z palących się baraków, ale jakoś wylizałem się z ran. Część z nas przerzucono potem do prowizorycznych baraków położonych w lesie za końcowym przystankiem tramwaju nr 3, a na zimę przerzucono mnie do lagru przy Herrenwieserstr. Mieliśmy stamtąd daleko do pracy, więc Torpedokommando wystarało się nam o zezwolenie na korzystanie z jazdy tramwajem.

W marcu 1945 r. Torpedokommando zlikwidowało swoją placówkę, gdyż front wschodni był już blisko. Co lepsze rzeczy załadowano na barki i pod osłoną nocy wraz z całą załogą przerzucono do Świnoujścia, gdzie był odpowiednik tego zakładu, a stamtąd po kilku dniach na wyspę Rugia do miasteczka portowego Sassnitz [...].

Różnice między wschodnimi i zachodnimi robotnikami były. Najmniej uprawnień mieli Polacy „P” i Rosjanie „Ost”. Byliśmy zasadniczo na równych prawach. Tyle tylko, że Polak jakoś lepiej sobie radził chociażby dlatego, że wielu z nas znało język niemiecki. A to dużo dawało. Rosjanie z zasady tego języka nie znali i dlatego było im trudniej. Lepsze uprawnienia mieli Francuzi, Włosi, Belgowie, Holendrzy, Ukraińcy – chociaż i te narodowości były podzielone jeszcze na różne kategorie odnośnie uprawnień. Uwidaczniało się to w rodzaju żywności, w przydziałach odzieżowych,

w korzystaniu z rozrywek kulturalnych, jak oglądanie filmów, wchodzenie do restauracji.

[...]

- Kontakty [...] istniały z robotnikami innych narodowości. Nie miały one jednak charakteru zorganizowanego. Istniała przede wszystkim solidarność, a nadto dzielenie się wiadomościami wojennymi, współpraca w zdobywaniu środków żywnościowych, w kradzieży potrzebnych rzeczy [...].
- Stosunek ludności niemieckiej zmieniał się do nas odpowiednio ze zmianą sytuacji na froncie. [Punktem zwrotnym] stał się fakt wylądowania wojsk alianckich na terenie Francji. Miękli jak wosk. W nas zaś dusza rosła. Byliśmy szczęśliwi. Ale jednocześnie staliśmy się bardzo czujni i nieufni w stosunku do swoich chlebobawców. Przecież jeszcze mieli nas w swoich rękach. Mogli nas sprzątać. [...]
- W pierwszych dniach maja 1945 r. (prawdopodobnie 3 maja) Sassnitz został zajęty przez wojska radzieckie. Tym samym zostałem wyzwolony z niewoli.

[...]

^a Thänsdorf – powinno być: obecnie Grzybno

^b Jädersdorf – powinno być: obecnie Strzelczyn

* obecnie Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny

** Schmiedestrasse – obecnie Tadeusza Nocznickiego

*** Herrenwieserstrasse – obecnie Światowida

Mieczysław Karbowski ur. 2 maja 1912 r. w miejsc. Brzozie, pow. Brodnica, woj. Bydgoskie, pochodzenie chłopskie; przed wojną pracował jako pracownik umysłowy w administracji Lasów Państwowych jako podleśniczy z ukończoną szkołą dla leśniczych; od 1 czerwca 1945 r. do 1964 r. pracował w Gryfinie w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej (do 1950 w Starostwie Powiatowym).

ⁱ **Fragmety odpowiedzi do ankiety przeprowadzonej przez Bogdana Frankiewicza na temat: Położenie cudzoziemskich robotników przymusowych na Pomorzu Zachodnim w latach 1939-1945. Archiwum Państwowe w Szczecinie, Zbiór B. Frankiewicza, sygn. 162.**